

Christian Medard Manteuffel

Na postoju...

Poniższe teksty wybrane są z mojej książki „Na postoju – zbiór twórczości od 1988 roku – emigracja, historia, literatura” – Wydawnictwo POLIGRAF – na rynku księgarskim od lutego 2025. Utwory zebrane w książce pisałem w Niemczech w języku polskim. Dzięki publikacjom w „GAZECIE KULTURALNEJ” i kilku innych czasopismach, moje wiersze i eseje ukazywały się nadal w kraju, a po 35 latach wydawnictwo „Poligraf” wydało obszerny wybór dostępnych w księgarniach całego kraju.

Milczenie fosylii (opowiadanie)

Gdy przybyłem do tego kraju, milczałem wśród ludzi, ponieważ nie rozumiałem ich mowy. Wkrótce spostrzegłem, że rozumiem ich milczenie... Z „Listów do Kamy”

Często spotykaliśmy na ulicy starszego mężczyznę chodzącego o lasce. Pozdrawialiśmy się, co nie było niczym niezwykłym, bo w tamtych stronach pozdrawiają się wszyscy przechodzący obok szwabskim „Grüß Gott”, co nauczyliśmy się na tyle poprawnie wymawiać, że nie byliśmy zaraz rozpoznawani jako obcy. Wreszcie zapytaliśmy Marię-Luisę o tego sympatycznego sąsiada.

– Ach, myślałam, że znacie się już. To Polak, Wawrcac – wymówiła trudne dla niej nazwisko. – Poznam was z nim.

Wawrcac okazał się Wawrzaczem; „z” wymawia się po niemiecku jak „c”. Przybył tutaj z Lubina, gdy Lubin nazywał się Luben, jeszcze w roku 1941 jako obywatel Trzeciej Rzeszy. I tylko nie wiadomo dla czego dla miejscowych był Polakiem i Polakiem pozostał. Dostał bez trudu pracę w miejscowej fabryce papieru, poznał miejscową Szwabkę, zakochali się i został. Ponad pięćdziesiąt lat po wojnie, ma niemieckie obywatelstwo i dorobili się wnuków, ale dla miejscowych będzie zawsze Polakiem.

Ta znajomość z Wawrzaczem przypomniła nam inną historię, którą opowiedziała nam pewna kobieta o imieniu Anita, którą poznaliśmy, gdy wędrowaliśmy jeszcze z Kamą po Polsce za pracą; dziś jest naszą serdeczną przyjaciółką, z którą złączył nas przypadek i może coś jeszcze...

Anita urodziła się w Niemczech. Jej ojciec dostał się do niewoli niemieckiej w pierwszych dniach wojny, gdy Niemcy zbliżali się do Poznania i wylądował w małym badeńskim miasteczku pod francuską granicą. Jego niewola zamieniona została wkrótce na pracę przymusową. Nie chodziło rzecz jasna o jakikolwiek znak łaski, lecz o praktyczne potrzeby wojennej maszynierii; ojciec Anity był bowiem szewcem, a w tym małym miasteczku uruchomiono fabrykę butów. Niemieckich szewców powołano do walki za ich Führera. Tak więc ojciec Anity został zmuszony do robienia butów dla niemieckich szewców, aby mogli tupać zwycięsko w bruki coraz innych miast Europy w takt ich wesołej przyśpiewki: „Haj-li Haj-lo Haj-la...”.

Podobnie jak Wawrzacz, ojciec Anity poznał pewną badeńską dziewczynę, którą początkowo tylko z normalnego ludzkiego współczucia, a potem ze zwykłej ludzkiej miłości szmuglowała dla niego żywność z domu rodziców. Aż zjawiła się na świecie ona, Anita. To było dwa lata przed końcem wojny. Rodzice próbowali ukryć nieszczęśliwą córkę z jej Polakiem i dzieckiem, ale nie trwało to długo. Kilku dzielnych niemieckich junaków w rudych uniformach przywiązało jej matkę do zabytkowej pompy na środku malowniczego ryneczku, obcięli jej włosy, założyli jej na szyję tablicę z napisem „Ich bin eine polnische Hure!” i zbiczowali ją do nieprzytomności. Potem nie wiedziała już jak się nazywa, a własnego dziecka nie odróżniała od swojej starej lalki.

Nieszczęśliwa para z małą Anitą przeżyła w ukryciu, aż przyszli Francuzi. Wtedy ojciec wrócił do Polski, jednakże tylko z dzieckiem. Według relacji ojca, matka pozostała tam w Badenii wraz ze swoją lalką. Od ojca nie dowiedziała się Anita niczego więcej; ożenił się i rozpił, a ona pozostała u polskich dziadków.

Anita opowiadała nam, że dziadkowie, a potem i ona starali się przez Czerwony Krzyż o odnalezienie matki, ale wracało ciągle tylko żądanie o bardziej szczegółowe dane. Ponieważ mam zwyczaj notować sobie takie wydarzenia, które szczególnie mnie poruszyły, znalazłem i te notatki, które szczęśliwie nie zniszczyły się w czasie nielegalnego transportu do Niemiec w 1988. Badenia graniczy ze Szwabią i miejscowość udało nam się szybko ustalić. Kama początkowo nie chciała, ale wreszcie pojechaliśmy tam. Najłatwiej było znaleźć rynek i starą pompę na środku placu, nieczynną już i będącą już tylko ozdobą. Są to typowe elementy w krajobrazie miasteczek południowoniemieckich. Niebawem okazało się jak naiwne było nasze przedsięwzięcie. Zagadywani przez nas ludzie bądź nic takiego nie pamiętali, nie słyszeli lub mieli kłopoty ze zrozumieniem naszego daleko niedoskonałego języka niemieckiego. Urzędniczka w ratuszu, gdzie wreszcie zdecydowałem się wejść, wyjaśniła uprzejmie, że w tamtych czasach rzeczy takie, jak chłosta za kontakty z Polakami, były rzeczą normalną, a miłość?...

– Miłość... – zamyśliła się urzędniczka – w tamtych czasach podporządkowana była czystości rasy. My mieliśmy produkować, produkować nadludzi.

Konkretnych przypadków jednak nie znała. Zniecierpliwiona Kama zapytała mnie wreszcie, czy i ja nie mam w swoim życiu spraw, które chciałbym zapomnieć.

– Tak, mam...

– W takim razie zrozum tych ludzi i zaprzestań tych dochodzeń!

Tak wróciliśmy więc do naszej Doliny Lenningen.

O historii tej opowiedzieliśmy kiedyś Marii-Luisie. I sądziliśmy, że na tym sprawa się zakończy.

Pewnego dnia przyszedł do nas Wawrzacz i po krótkiej rozmowie o sprawie, która była niewątpliwie tylko pretekstem do przyjścia opowiedział nam, że słyszał od sąsiadki o naszych poszukiwaniach.

– Powinniście iść do miejscowego pastora – poradził nam stary Polak. – Maria-Luisa już rozmawiała z kimś z tego miasteczka i wie, że jest tam jeszcze ten stary pastor z tamtych czasów.

Tak więc, po krótkiej telefonicznej rozmowie z pastorem znalazłem się już sam, bez Kamy, w tym malowniczym, przytulnym miasteczku. Drzwi otworzyła staruszka z przyklejonym do ust uśmiechem, ale o mimice manekina i milczeniem skwitowała moje szwabskie „Grüß Gott”. Poszła przodem do otwartych drzwi pokoiku, gdzie siedział pastor i zaraz odeszła bez słowa.

Starzec polecił mi zająć miejsce przy stole, który najwyraźniej pełnił także funkcję biurka. Stół stał przy oknie z widokiem na ogród pełny zieleniących się drzew. Nieco za długie, żółtawo siwe włosy starego człowieka leżały na krawędzi białej koszuli bez kołnierzyka. Wkrótce pojawiła się kobieta, którą pastor przedstawił mi jako swoją żonę. Wtedy przyglądała mi się dłuższą chwilę uważnie i bez słowa. Po chwili przyniosła mężowi herbatę w fajansowej filiżance, ale mnie zdawała się już nie dostrzegać. Ona przyszła i odeszła znów bez słowa, a pastor mieszał tę herbatę o silnym ziołowym aromacie i uderzał głośno łyżeczką o ścianki fajansowej filiżanki. Dziwna kobieta; w mojej pamięci pozostał mi do dziś jej obraz bardzo wyraźny i nieco niesamowity. Pastor był stary, bardzo stary i widziałem, jak daleko musi odejść, aby dotrzeć do tamtych czasów, o które go pytałem i przyholować z stamtąd odpowiedź.

– Ta-a-k... – robił wrażenie, jakby ważył w sobie gotową już odpowiedź. – Znałem ją. Widziałem też to, co się wtedy wydarzyło. Widzi pan ten budynek tam za moim ogrodem? To jest ratusz. Wówczas te